



SÁNDOR  
1957 MÁRAI  
DZIENNIK  
1966

TOM

3



CZY  
TEL  
NIK



SÁNDOR  
MÁRAI  
1957  
DZIENNIK  
1966

Wybór, przekład, opracowanie,  
przypisy i postłowie

Teresy Worowskiej

Czytelnik

Warszawa 2018

Tytuł oryginału  
*A teljes Napló*

© Heirs of Sándor Márai, Csaba Gaal (Toronto)

Projekt oklejki i karty tytułowej  
Lijklema Design. Karolina i Hans Lijklema

Na okładce wykorzystano portret fotograficzny  
Sándora Máraiego z 1967 roku ze zbiorów  
Muzeum Literatury im. Petőfiiego w Budapeszcie

Indeks osób: Hanna Wachnowska

Redaktor: Anna Kubalska, Anna Suligowska-Pawełek  
Redaktor techniczny: Hanna Bernaszuk  
Korekta: Anna Suligowska-Pawełek

© Copyright for the Polish translation  
by Teresa Worowska, Warszawa 2018

© Copyright for the Polish edition  
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2018

ISBN 978-83-07-03431-7

1957

*1 stycznia*

Miniony rok przyniósł wiele udręki. Ale zdarzyły się dwa takie kwadranty – o świcie nad oceanem, w samolocie w drodze do Europy i z powrotem – które warto było przeżyć. Kto czegoś takiego nie widział, nie zna świata.

Węgry przetrwają tę okrutną próbę, ale to będzie już całkiem inny kraj, tyle że na tym samym miejscu. Jaki on będzie i jak to się stanie, tego jeszcze nie wiadomo. Ale na pewno to będzie zupełnie inny kraj.

Zadania na ten rok: uzyskać obywatelstwo amerykańskie i paszport. Zakończyć tę trwającą od dekady cygańską wędrówkę. A potem bardzo rozważnie zdecydować o przyszłości. Jeśli będę miał pieniądze, w tym roku muszę się poddać operacji. Może jeszcze nie jest za późno.

*3 stycznia*

Po południu herbata w budynku Museum of Modern Art. Na ścianach kolorowe ropne plamy, które zwykło się dziś nazywać „abstrakcyjną sztuką współczesną”. Publiczność w większości składa się z brodatych, odzianych w marynarskie spodnie mężczyzn i kobiet – kobiety też brodate – dzicy geniusze, leczące się całymi stadami u psychoanalityków dzieci milionerów. Rozsypuje się obraz świata, jednocząca siła sztuki już niczego nie łączy, wszystko rozpada się na atomy.

Gniew i obojętność, całkowite odwrócenie się od wszystkich i wszystkiego – taka postawa na pewno nie jest „zdrowa”. Ale gniewam się nie tylko w ten sposób. Gniewam się również za coś i na coś, świadomie.

*9 stycznia*

Gniew ma swój najwyższy stopień, który rzeczywiście jest niebezpieczny: to obojętność. Prawdziwy gniew.

Listy od uchodźców. Wszyscy piszą, że niepojęte, czemu Zachód się tak waha? Komuniści się boją, wszyscy są tego zdania.

Pewien dziewiętnastoletni uchodźca – w zeszłym roku zdał maturę – pisze do mnie z jednego z włoskich obozów, krótko i z ambicją. Oświadcza, że wybiera się do Ameryki, gdzie ma zamiar założyć pismo literackie.

Co się dzieje w kraju? Całkowita apatia. Jest co jeść i jest terror; wszystko inne niepewne i niejasne. Więc jedzą, co jest, i nie myślą o terrorze. W każdym razie wszyscy ci, którzy nie są komunistami, mogą liczyć na solidarność z dziesięcioma milionami ludzi. A to poważna kompensacja.

Muszę wreszcie postawić kropkę na końcu szeregu wstrząsów zeszłego roku – choroby L., wydarzeń węgierskich, mojej podróży do Europy, całego tego szoku. Od jutra zmieniam tryb życia i pracy. Człowiek nie wie, co będzie i jak będzie, ale takie postanowienia czasami potrafią wpłynąć na rzeczywistość.

*15 stycznia*

List od I.G. To obecnie mój najstarszy krewny. Razem z dwudziestoma osobami przeszedł przez granicę w noc wigilijną, w śnieżycę, przy

światle rakiet. Trzydzieści godzin brnął przez śnieg w kaloszach. Ma sześćdziesiąt trzy lata. Szykuje się do Kanady. Teraz jest w Wiedniu.

23 stycznia

Żadnych wiadomości z domu.

Ta wielka, wielka rzecz, która wydarzyła się w kraju w dniach rewolucji: na chwilę ponad klasami społecznymi zaistniały Węgry.

Obecne tygodnie to coś w rodzaju „ostatnich metrów przed metą”. Obywatelstwo i wszystko, co z niego wynika. Po pięcioletnim, dziesięcioletnim maratonie, blisko mety, która jednak nie jest celem. Tylko zwykłą datą.

Niemiecki wydawca Holle pisze, że chce wydać *Krew świętego Januarego*, ponieważ „zrobiła na nim wielkie wrażenie i opublikuje ją, choć nie wierzy, że ta powieść może znaleźć w Niemczech czytelnika”. To jest wydawca.

Tę samą powieść największy „literacki” wydawca amerykański Scribner odesłał, pisząc, że nie może jej opublikować, ponieważ nie sądzi, żeby znalazła w Ameryce wielu czytelników. Te listy jasno ukazują różnicę pomiędzy wydawcą a sprzedawcą papieru. Widzę ją tu we wszystkim. Amerykanie jeszcze nie wiedzą, że „sukces” nie jest celem, tylko produktem ubocznym.

Czym innym jest „przegrać”, a czym innym „polec”. Węgry – i my, wszyscy Węgrzy, którzy żyjemy i umieramy razem z ojczyzną, bez względu na nasze papiery i miejsce pobytu – nie „przeegraliśmy”, tylko „polegliśmy”. I pewnego dnia świat będzie musiał zdać z tego sprawę. Ci, którzy za to odpowiadają, myślą teraz: bagatelka, cóż to jest, los małego narodu, drobne intermezzo. Nieprawda. To „intermezzo”

naruszyło moralną wiarygodność zachodniego świata – jednoczesna zbrodnia Francuzów i Anglików w Suezie tylko potęguje ich moralny upadek; a prestiż Sowietów też ucierpiał.

Pierwszy list mamy po rewolucji. Pisze: „Wiemy, że nic nie pomoże, tylko czas. Nawet kropla wody z czasem zmienia się w stalaktyt: trzeba tylko być jak kamień, trzeba skamienieć...”. W styczniu skończyła osiemdziesiąt trzy lata.

### *8 lutego*

Uciekinier. Prawnik, w ciągu ostatnich dwunastu lat obracał się wśród pisarzy, załatwiał sprawy prawne komunistycznego wydawnictwa. Opowiada, że podczas procesu Rajka, aż do chwili ogłoszenia wyroku, komuniści obchodzili się z Rajkiem jak z przełożonym, który podjął się odegrania roli.

W sąsiedztwie sali rozpraw stały fotele klubowe, stół z napojami i tokajem. Tu w przerwach rozprawy Rajk przyjmował Gábora Pétera, szefa tajnej milicji, sędziego, prokuratora i obrońcę. Przez cały czas rozmawiali z nim jak podwładni z ministrem spraw wewnętrznych. „Słuchaj, Laci, a może jeszcze powinieneś zeznać to i tamto?” – pytał Gábor Péter albo prokurator. Przewodniczący składu sędziowskiego, który kilka minut wcześniej grzmiał na podium sędziowskim podczas zeznań Rajka czy pozostałych oskarżonych, teraz uśmiechał się z zakłopotaniem, przestępował z nogi na nogę i nie miał odwagi usiąść w obecności Rajka. Kiedy ogłoszono wyrok skazujący, Rajk, zaczerwieniony z podniecenia, powrócił do salki obok i zaczął jeść. Wszyscy weszli za nim, sędzia, szef milicji, obrońca. Wszyscy promieniali. „Było doskonale – podsumował z zadowoleniem Gábor Péter. – A teraz złożysz odwołanie”. Rajk znieruchomiał z kieliszkiem tokaju w ręce. „A po co? – spytał. – Nie taka była umowa...”. „Ależ skądże, tak się umówiliśmy – powtarzali chórem. – Złożysz odwołanie, a potem poprosisz o łaskę, tylko wtedy wszyscy uwierzą...”. Rajk wstał. Był śmiertelnie błądy. Zrozumiał, że go oszukano. „Nie będę prosił o łaskę”, zaoponował. Gábor Péter na to ze spokojem: „To w twoim imie-



niu poprosi obrońca. Zgodnie z porządkiem procesu ma do tego prawo”. Długa cisza. Wszyscy wstali. Rajk bladej jak ściana powiedział: „Rozumiem”. Milczeli. Wtedy Gábor Péter podszedł do drzwi i wezwał strażników: „Odprowadzić skazanego”. Rajk poszedł z nimi i po dwóch dniach został powieszony.

Pytam, czy zachowała się może fotografia albo film z egzekucji. Nic o tym nie wie. Te informacje ma od obrońcy, który żył w śmiertelnym strachu, ponieważ otoczenie Rákosiego dopuściło go do tajemnicy. Sędzia Jankó popełnił wkrótce samobójstwo, a Gábor Péter siedzi w więzieniu, może mają wobec niego jeszcze jakieś plany.

Opowiada to wszystko w trakcie obiadu, właśnie przyjechał z Europy, zmierza do Kalifornii. Jego rozedrganie jest szczere. Nie może jeść, tylko sałatę, bez przerwy pije kawę i zażywa jakieś tabletki. Mówi, że rewolucja ciekawie wpłynęła na niektórych pisarzy, komuniści czasami żałamywali się i krzydzeli: „Kłamaliśmy, kłamaliśmy!”. Poputczycy lepiej to znosili.

Ojczyzna jest – zawsze – jak katedra. Ale czasem jak kloaka.

Ci nowi uchodzący są wszyscy dziwnie rozwibrowani. To niepokój wywołany poczuciem winy: jeden ma poczucie winy, ponieważ brał w coś udział, inny dlatego, że czuje: nie powinien był wyjeżdżać.

Lektura: drobne szkice Valéry’ego o sztuce. Nie wiem, czy będę jeszcze potrafił czytać i pisać z taką mocą i koncentracją, jak dotychczas przez całe moje życie, do 4 listopada.

*13 lutego*

Szkice i rysunki Lawrence’a. W ostatnich latach życia z gorączkowym pośpiechem zaczął rysować i malować, poprzez prymitywne, dziecięce linie i rysunki próbował uzewnętrznić tę erotyczną konfuzję, która w jego książkach przemawiała z mesjanistycznym patosem. Jego rysunki przypominają mazanie niedorostków po ścianach. Zaambarasowanie Anglosasów wobec problemów ciała i cielesności jest typowe

dla okresu pokwitania. Kiedy spotykają się z cielesnością, albo ubierają się pod szyję, albo rozbierają, do przesady.

*19 lutego*

Telefon i telegram z Paryża. Podobno w kraju znów otwarto osławiony obóz internowania w Recsk, wywieziono tam kilkuset młodych, uczestników rewolucji, również kobiety, razem z nimi córkę mojego młodszego brata. Julika ma osiemnaście lat.

Dwa miesiące temu napisałem do „New York Timesa” list otwarty, w którym prosiłem, żeby dla poruszenia światowej opinii publicznej zainicjowali w prasie, życiu publicznym i prywatnym ruch *Don't forget Hungary*. Listu nie wydrukowano. Dzisiejszy numer „U.S. News & World Report” pisze, że najważniejszym celem wysiłku Sowietów jest, by światowa opinia publiczna zapomniała o wszystkim, co się stało i dalej się dzieje z Węgry.

János ma szesnaście lat. Powiadamia mnie, że zgodnie z miejscowym prawem można go już posadzić na krześle elektrycznym; skazaniec, który ukończył szesnaście lat, może tu być stracony.

Młody chłopak, uciekinier, dziewiętnastolatek. Mówi, że Rosjanie są tchórzliwi; tylko Zachód sądzi, że są silni. Gdyby węgierscy powstańcy mieli więcej broni, popędziliby ruskie tanki do granicy, a wówczas Imre Nagy miałby pozycję do pertraktacji. To niejasne, ale nie całkiem niemożliwe. Ja też sądzę, że tutejsza „liberalna” szeptana propaganda próbuje dowieść siły i przewagi Rosjan. Inny uchodźca pisze: „Wszyscy bolszewicy to tchórze, a ich głupota jest większa od ich okrucieństwa”.

Czasem jeszcze ciągle ta dzika wiara, dzięki której można chodzić po wodzie. To prawie cielesne uczucie.

*1 marca*

Pierwszy „starczy” list od matki. Drżące pismo; nie potrafi napisać nic więcej poza tym, że jeszcze żyje.

*5 marca*

Czasem wydaje się, że to wszystko, co mi jeszcze pozostało, jest beznadziejne, ale nie jest nieciekawe. A czasem znów, że jest nieciekawe, ale nie beznadziejne.

Na jednym z prowincjonalnych uniwersytetów amerykańskich zapytano trzydziestu czterech węgierskich studentów-uchodźców, która książka po 1940 roku oddziałała na nich najbardziej. Trzydziestu wybrało *Sándora Rózsę Móricza*, osiemnastu dodatkowo jeszcze jedną z książek Tamásiego i *Znieważonych*. Ciekawy objaw.

Egzystencjalny strach, który w decydujących chwilach skłania większość ludzi do kompromisu, to nie tylko obawa przed utratą chleba. Raczej strach, że wyjdzie na jaw, iż tak naprawdę nie znali się na niczym, także wówczas, kiedy byli jeszcze na stanowisku.

*10 marca*

Lektura: Sigstedt, *The Swedenborg Epic*. O zjawisku, jakim był Swedenborg, książka opowiada tonem zoologa, tak czyni zresztą większość amerykańskich biografii. Teraz mamy kryzys podobny do tego w końcu XVII wieku, kiedy pod wpływem Kartezjusza kilku Europejczyków poczuło, że „jest” nie wtedy, kiedy „wierzy”, lecz kiedy „myśli”. Musiała to być wielka radość. Po reformacji i kontrreformacji Europejczyk czuł, że otrzymał nową rolę. Dziś taki sam entuzjazm przejawiają ci, którzy sądzą, że „wiedza praktyczna” znajdzie odpowiedź na wszystko. Ale wyjątki są także i dzisiaj. Swedenborg zaczął od matematyki i doszedł do mistyki. Podobnie jak John von Neumann, z pochodzenia Wę-

gier<sup>1</sup>, który zmarł w tych dniach: był świetnym matematykiem, jednym z twórców mózgu elektronicznego, a zmarł jako gorliwy katolik, „w stanie łaski”. Od dwóch razy dwa do nieskończoności droga jest krótka.

Narody Zjednoczone powołały komisję typu *watchdog*, której zadaniem ma być „obserwowanie kwestii węgierskiej”. Wszystkiego, co wydarzyło się od 4 listopada. Ta komisja naturalnie nie gryzie, ale prawdopodobnie nawet i nie szczeka.

Francja i Anglia, dwa wielkie mocarstwa, 6 listopada zupełnie niepotrzebnie rozpoczęły atak wojskowy na Egipt w sprawie Suez, a po kilku dniach na skutek „rezolucji” ONZ z podwiniętym ogonem wycofały się znad Kanału Sueskiego. Teraz pospieszył za nimi Izrael, bez żadnych warunków, nic nie osiągnąwszy. Przyszły czas, w których nic się już nie liczy. To *nihil*.

*15 marca*

Co się dziś deklamuje w Budapeszcie?<sup>2</sup>

Ależ to wszystko jest daleko. Jak we śnie albo w chwili śmierci.

Czasem wielki spokój. Jednak dobrze było żyć.

Co się dzieje z takimi ludźmi? Swedenborg, William Blake? Swedenborg miał pięćdziesiąt sześć lat, kiedy nastąpiła w jego życiu „wielka zmiana”. Pewnego dnia sny stały się dla niego rzeczywistością. Po matematyce, fizjologii, fizyce pewnego dnia odwiedziły go... No właściwie, kto? Anioły, demony? Odwrócił się wtedy od wszystkiego, co empiryczne, od matematyki, fizyki, fizjologii. Lecz ku czemu się zwrócił? Nie wiadomo. (Blake podczas spaceru głośno pozdrawiał świętego Pawła, który „właśnie tamtędy przelatował”). Swedenborg żył jeszcze

---

<sup>1</sup> János Neumann (1903–1957) – amerykański matematyk pochodzenia węgierskiego, twórca m.in. teorii gier i współtwórca pierwszego elektronicznego komputera.

<sup>2</sup> 15 marca jest na Węgrzech świętem upamiętniającym rewolucję 1848 roku, deklamuje się zwykle rewolucyjne wiersze Sándora Petőfięgo.

dwadzieścia lat w tym mistycznym stanie. Śnił, zapisywał sny, rozważał słowa Biblii. Anioły i demony to pojawiały się, to znikwały. I żył spokojnie, załatwiał sprawy finansowe, może nawet miał przygody miłosne, jadł, pił, otaczali go przyjaciele. Czasem nachodziły go wyrzuty sumienia, kiedy uświadamiał sobie, że myśli „o czymś innym”, o ziemskich interesach, bo anioły i demony wówczas „natychmiast znikwały”. Ale pomimo to myślał o tych innych sprawach.

Z poranną pocztą niemieckie szczotki *Świętego Januarego*. Widzieć wydrukowaną treść minionych pięciu lat. Znów: jeśli ta książka i *Dziennik* się ukaza, ten czas nie był zmarnowany.

W wieku pięćdziesięciu sześciu lat Swedenborg wrócił z Paryża i Londynu do Sztokholmu, osiadł w swoim wygodnym domu, nalewał gościom herbatę ze srebrnego dzbanka, grał na organach, pisał. Każdego roku publikował tom swoich sekretnych zapisków, ale bez nazwiska i w Londynie. Przez blisko dwadzieścia lat nocą spotykał się z aniołami, duchami, syrenami. Jego otoczenie nic o tym nie wiedziało. Często pojawiali się zmarli znajomi, którzy, będąc duchami, nie mogli już ukryć podłości swych charakterów. Syreny, jak pisał w swoim sekretnym dzienniku, „są szalenie niebezpieczne”.

Dwugodzinny spacer brzegiem rzeki w świszczącym wietrze wiosennym i marznącej, gęstej mżawce. Te spacerunki bardzo mi pomagają. Swedenborg też wierzył – podobnie jak Goethe – że praca mózgu związana jest nie z pracą serca, lecz z oddychaniem.

*21 marca*

Kiedy Swedenborg wrócił do Sztokholmu, żeby rozmawiać ze zmarłymi i duchami, większość jego współczesnych uważała go za szaleńca. Jak i dziś wielu, którzy, będąc tradycyjnymi matematykami, uznaje Neumanna za szaleńca. Gdzie kończy się „szaleniec”, a zaczyna „mystyk”?

Bo rzeczywiście, trudno było uważać za kogo innego człowieka, który z powagą na twarzy opowiada znajomym, że poprzedniej nocy spotkał się z carycą Elżbietą, która na tamtym świecie wyszła za mąż za pewnego szwedzkiego arystokratę. Swedenborg relacjonował to z ukontentowaniem i rozbawieniem; ze zmarłymi rozmawiał tak samo, jak z żywymi.

Może rzeczywiście był szaleńcem, może mistykiem. A może po prostu był pisarzem. Pisarze „rozmawiają” ze swoimi postaciami w innej przestrzeni tak samo jak szaleńcy i mistycy.

Słucham Tebaldi. Istnieje inny język... kiedy to już nie słowa i nie muzyka, lecz wspomnienia śpiewają.

*25 marca*

Nad oceanem. Za każdym razem coraz głębsze, swojskie odczucie „ojczyzny”. Zachodni wiatr, samotne ptaki, spokojna, ciemnoniebieska woda.

Jedna z frakcji amerykańskich Demokratów przerażonych rewolucją francuską chciała obwołać Waszyngtona królem, mówili, że ze względu na *mob* potrzebny jest autorytet. Jefferson temu przeszkodził. Hamilton to popierał. Chciał też czegoś innego. Chciał dzikich, brutalnych milionerów, którzy wprawdzie zedrą skórę z mas pracujących, ale zdobędą kapitał, ponieważ – jak mawiał – tylko brutalni milionerzy mogą zrobić prawdziwy kraj z prymitywnego kontynentu, jakim była Ameryka. I zrobili. W tej niesprawiedliwości była jakaś racja.

*29 marca*

Umiera się cicho, bezgłośnie, „samotnie”. Nie ma klepsydr, hałasu wokół śmierci. Czasami odzywa się telefon i ktoś mimochodem nadmienia, że X.Y., który „jeszcze wczoraj był u nas” – zmarł. Śmierć jest tu *understatement*<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> *Understatement* (ang.) – niedopowiedzenie, niedomówienie.

5 kwietnia

Nasz synek zmarł osiemnaście lat temu.

Śnieżycą, po niej ulewny deszcz. Który nie był wiosenny – czyli radosny. Tu deszcz jest racjonalny jak polewaczka samochodowa.

Lektura: Kierkegaard, *Dziennik 1843–1851*.

Co trzeci człowiek na świecie jest Chińczykiem – opowiada o tym pewien amerykański fotograf, który właśnie objechał Czerwone Chiny. Ta informacja zastanawia. Sześćset milionów Chińczyków obywa się bez energii atomowej i penicyliny, potrafi tworzyć, posługując się tylko siłą rąk własnych i siłą zwierząt, bo nic się nie liczy, a wszystko, co kulisi otrzymują od nowego ustroju, to nadwyżka w stosunku do tego, co mieli w dawnym. W tej biedzie i braku wszelkich wymogów kryje się przeraźliwa siła – nie siła „socjalizmu”, tylko siła jakichś termitów, które potrafią przegryźć się przez cały świat.

10 kwietnia

Kierkegaard rozmawiał kiedyś – w 1848 roku! – z duńskim królem Chrystianem VIII i król wyznał wówczas filozofowi, że „bardzo boi się komunistów”.

Kierkegaard pocieszył go, że komunizm nie szkodzi królom. Filozof obawiał się raczej o demokrację – uważał, że wiek, w którym żył, jest „nie do wytrzymania”. Z Europą koniec, pisał w dzienniku około 1840 roku, ponieważ już nie jest chrześcijańska, zapatrzona w nauki utraciła wiarę, a razem z nią swoją rolę, bo upoiła się liczbami i mirażami demokracji, bo pustoszą ją namiętności nacjonalizmów, a prawdy nie widać już spoza kłamstw codziennej prasy... Prasy nienawidził najbardziej, w 1849 roku ten wielki chrześcijański moralista napisał w swoim dzienniku, że „w każdej chwili byłby gotów wydać rozkaz strzelania do towarzystwa dziennikarzy”. Miał złą prasę.

János strzyże się w śródmieściu. Opowiada, że jego gęste fale obcinał łysy fryzjer, Portorykańczyk, i ta sytuacja krępowała go, ponieważ „łysy nie może obcinać innym włosów bez uczucia zazdrości”. Czuję czasem coś podobnego, czytając krytyki literackie.

*11 kwietnia*

Pięćdziesiąte siódme urodziny. Lektury: święty Paweł, List do Kolo-san, *Kropla balsamu*<sup>1</sup> Aranya, *Życie człowieka*<sup>2</sup> Vörösmartyego.

Za kilka tygodni obywatelstwo amerykańskie. Całkowita apatia. To już dla mnie nieważne.

*12 kwietnia*

Pierwszy dzień pięćdziesiątego ósmego roku. Podczas spaceru uczucie paniki, że coś się kończy. To tylko chwila, ale rozum nie potrafi się z tym uporać.

Kierkegaard był typem histerycznego paranoika, który swoje wyobrażenia o własnej wielkości potrafił lekko, bez żadnych trudności pogodzić z rolą proroka. Jego wściekłość na „prasę”, na to, że znajdują się ludzie, którzy to widzą, wiedzą i mają odwagę nazwać. A jednocześnie chwilami ocenia również jasno samego siebie i w takich momentach okazuje się zaskakująco, trzeźwo autoironiczny i samokrytyczny.

Złość, z jaką zwraca się przeciw „chodzącym do kościoła” – którzy „zdradzili chrześcijaństwo, sądząc, że już są chrześcijanami, skoro w niedzielę idą do kościoła” – jest naiwna. Boga można odnaleźć wszędzie, nawet w kościele. Chrześcijanin, który w niedzielę, choćby tylko dla zachowania formy, idzie do kościoła, jest nie mniej religijny niż ten, który sądzi, że ma rację, gdy demonstracyjnie pozostaje w domu.

---

<sup>1</sup> *Balzsamcsepp.*

<sup>2</sup> *Az ember élete.*



Rada Gide'a: „Nie sądz, Nathanaelu, że Boga możesz znaleźć gdziekolwiek indziej niż wszędzie”, jest słuszna; ale w pojęciu „wszędzie” zawiera się także kościół.

W nocy podczas rozmowy wreszcie słyszę nazwisko: William Blake. Od tygodni dręczy mnie, że je zapomniałem. Ten angielski mistyk, pisarz i rysownik z przełomu XVIII i XIX wieku siedział kiedyś z żoną w ogrodowej altanie, byli nagusieńcy jak ich Pan Bóg stworzył i niespodziewanego gościa, który zmieszany chciał się wycofać, uprzejmie zachęcali do pozostania, bo czytali właśnie na głos *Raj utracony*, a tam przecież wszyscy byli nadzy. To on podczas spaceru głośno pozdrowiał niewidocznych przechodniów i najnaturalniejszym tonem informował, że „świący Paweł właśnie przeleciał obok”, więc go przywitał. Czytałem o tym wszystkim chyba w zapiskach Menckena, ale zapomniałem nazwisko, podejrzewałem Johnsona, Goldsmitha, Boswella, Lamba, nawet de Quinceya. Wszystko to były fałszywe tropy, chodziło o Blake'a. Przypomina mi Swedenborga (nie Kierkegaarda), to on umiał mówić takim naturalnym tonem o niesamowitości.

Zdanie z listu węgierskiego chłopca: „jestem gotów poświęcić życie dla ojczyzny i dla ludzkości”. W takich słowach buzuje czasem *Krew świętego Januarego*.

2 maja

Zimny, ciemnozielony, musujący maj. Każdego dnia długie spacery nad rzeką.

Kierkegaard czasami się rozgrzewa, rozpędza i w takich chwilach milknie lamentujący kaznodzieja, a zamiast niego odzywa się ktoś sensowny, oryginalny, widzący genialnie głęboko i głęboko czujący. Na przykład kiedy pisze o beduinie, który bez żadnej nadziei kuli się w namiocie na środku pustyni i nie widzi nic poza piaskiem wokół, a nie

czuje, że ożywcze źródło znajduje się pod warstwą piasku dokładnie w tym miejscu, w którym rozbił namiot.

Ale to tylko słowa. Nie jest pewne, że ożywcze źródło znajduje się w nas, na tej pustyni, którą jesteśmy i którą jest otaczający nas świat. Możliwe, że tego źródła nigdzie nie ma. A nam może pomóc tylko cud, oczekiwany bez nadziei cud. Trzeba go przyzywać, za wszelką cenę, również wówczas, gdy nie ma nadziei.

Komunistom można wybaczyć. Ale komunizmowi nie. Pliniusz Starszy<sup>1</sup> też tak napisał cesarzowi, kiedy ten pytał go o zdanie na temat przesładowania chrześcijan.

Złożyłem podanie, w którym proszę o przyznanie mi i moim bliskim obywatelstwa amerykańskiego. W rzeczywistości dziś pod względem ducha, gustów i mentalności jestem tak samo daleko od Ameryki, jak byłem przed pięciu laty, kiedy tu przyjechałem. L. też nie jest bliżej. Za to János wrósł tu, zapuścił korzenie.

W Ameryce sympatię czuję tylko do Chińczyków, którzy niemo prują w swoich pralniach i którzy pozostali Chińczykami. I nie stwarzają żadnych problemów. Ale nie mogę uczynić nic innego, muszę się ubiegać o amerykańskie obywatelstwo i nie ma w tym żadnego fałszu. Zła siła wielkiego nieszczęścia przerzuciła mnie z jednego kontynentu na drugi. Nic więcej.

Możliwe, że to, co się ostatnio „dzieje”, nie jest jedynie zderzeniem świata bolszewickiego z niebolszewickim i chodzi o coś innego niż tylko o zmianę sposobu życia mas. Być może państwa narodowe zanikną i na ich miejsce pojawią się nieforemne twory, ponadnarodowe Mamucie Twory Państwowe? I wszystko, co się teraz dzieje, dzieje się z tego powodu?

---

<sup>1</sup> Autor miał pewnie na myśli Pliniusza Młodszeo.

Pewien znajomy sześćdziesięcioletek informuje mnie spokojnie, że z braku lepszych pomysłów na starość ma zamiar zostać szpiegiem. Emeryci górą.

*10 maja*

Przed południem w Immigration Office, gdzie przesłuchuje mnie urzędnik. Jest wyjątkowo życzliwy, zachowuje się jak ktoś, kto właściwie wstydzi się, że musi zadawać dorosłym ludziom dziecinnie proste pytania. A te pytania są formalne: czy byłem komunistą, gdzie się urodził Waszyngton, jakie obywatelstwo miałem przedtem? W trakcie rozmowy opowiada anegdoty i popija mleko z papierowego kubka.

W sali czekają również inni kandydaci na obywateli amerykańskich: brodaty rabin, Murzyni, rozmaici ludzie. Musimy kilkakrotnie przećwiczyć przysięgę, po czym płacę dziesięć dolarów. Odsyłają mnie z informacją, że za kilka tygodni mam się znów stawić, żeby złożyć przysięgę i wówczas będę mógł odebrać dokument potwierdzający obywatelstwo.

W protestantyzmie Kierkegaard widzi „dorosłą” formę chrześcijaństwa; katolicyzm jest dla niego chrześcijaństwem dziecięcym, emocjonalnym, pełnym fantazji; za to protestantyzm to dorosłość, trzeźwość, chrześcijaństwo poważne, ponure i fachowe. Rzeczywiście jest ono takie i dlatego w protestanckim świecie zginęło wszystko, co stanowiło szlachetną zabawę, poezję, metafizykę.

Lektury: powieść Greene’a *The Quiet American* i – ze względu na zbliżającą się uroczystość przyrzeczenia – *Constitution of the United States of America*. Ta druga jest bardziej intrygująca, wręcz powieściowa.

Nie czuję jakiegoś specjalnego poruszenia, tylko smutek, który nie odstępuje mnie w tym czasie dniem i nocą i jest czymś więcej niż wstrząsem. Nie mogę zrobić nic innego, ale to podły los, że tak się ułożyło i że to musi się stać.

Może nie umiem się modlić. Może trzeba się modlić inaczej, mechanicznie – jak na młynku do modlitw – lub bez słów. Może źle się modliłem.

„*I am an American by choice, you only by accident*”<sup>1</sup> – powiedział Hamilton do Jeffersona. Ja nie mogę tego powiedzieć, nie jestem Amerykaninem *by choice*. Jeśli się nim stanę, stanę się *by accident*.

Za każdym razem, gdy przypomina mi się ganek willi Kisfaludyego w Badacsony, przeszzywa mnie dreszcz. Krajobraz widziany z ganku tego domu skąpany jest w słońcu, wulkaniczny i specyficznie „węgierski”.

Po południu prowadzę auto trasą od naszego domu do stacji Pensylwania – od lat po raz pierwszy znów prowadzę. Wielką szosą biegnącą wzdłuż rzeki Hudson auta płyną falą, poruszać się w tym nurcie razem z samochodami i ludźmi to dziwne uczucie – jednocześnie lot i unicestwienie.

Porządkuję dawne dokumenty i papiery. To byłem ja, to była przeszłość, którą teraz trzeba schować do szuflady – zaczyna się coś innego; właściwie to samo, ale inaczej.

*14 maja*

Palę rękopisy, opróżniam szuflady. Przygotowuję się do Ameryki jak do wielkiej podróży. Podróży bez celu.

W nocy ulewa. Rankiem w lesie. Ścieżka błotnista, mokra. Nie ma ładnego zapachu, ale czuć ją przynajmniej stęchlizną... Cała okolica,

---

<sup>1</sup>*I am an American...* (ang.) – Ja jestem Amerykaninem z wyboru, a pan przez przypadek.

las, wszystko w Ameryce jest w specyficzny sposób bezwonne. Może słone powietrze oceaniczne wyługowuje z amerykańskiego krajobrazu zapachy?

Istnieje w angielskiej literaturze typ człowieka podobny do bardzo inteligentnego Doriana Graya, alkoholik i salonowy komunista, osobnik agresywny i niespokojny. To chrześcijanin nieodmieniony przez Łaskę. Powieść Greene'a: esencjonalne nieszczęście. W dzisiejszym świecie chyba nie ma ludzi równie głęboko, neurotycznie nieszczęśliwych jak inteligentni Anglicy.

25 maja

Dzień, w którym wszystko dzieje się źle; czego się chwytam, wypada mi z rąk, wszystko pokazuje opaczną stronę. Bywają takie dni, kiedy koboldy fikają koziółki wokół nas. Rano na lotnisku Idlewild, gdzie czekam na I. przylatującego z Wiednia i udającego się dalej do Kanady. Naturalnie mijamy się. Przez trzy godziny krążę po poczekalniach. W korytarzu przed komorą celną ze zdumieniem widzę, że ożywa moje dawne opowiadanie *Węże*: odświętnie ubrana drobnomieszczańska amerykańska rodzina oczekuje Syna, który ożenił się za granicą, a jego żona i *baby* są Mulatami.

Wieczorem wzywa mnie do telefonu sąsiad z szóstego pietra: jakiś agent meblowy, który nie zna mojego numeru, próbuje mi wcisnąć meble z numeru sąsiada, choć nigdy nie słyszałem ani o nim, ani o jego towarach. To rzeczywiście bezprzykładna i demokratyczna bezczelność. I jeszcze wiele takich drobnych, niepowszednich grymasów przez cały dzień.

Czy za tym kryje się jakiś zamiar, reżyseria, czy działania życia mają sens, czy Bóg wie o tym wszystkim?

W kraju znów zaczyna się terror.

Widzę jedyny cel: dożyć wyzwolenia Węgier.

28 maja

Rano dzwonek do drzwi. „FBI” – mówi jakiś głos.

Wkracza młody człowiek, elegancki niczym gwiazdor filmowy. Pokazuje legitymację. Siada. Przed kilkoma miesiącami wysłałem pewnemu uchodźcy w Austrii czek na piętnaście dolarów. Czek gdzieś zginął, więc poprosiłem nowojorski bank, by zablokowano jego realizację na wypadek, gdyby złodziej zgłosił się po pieniądze w Wiedniu. Młodzieniec z FBI przyszedł wypytać mnie w tej sprawie.

Typowy *college boy*, pochodzi z Nowej Anglii; bardzo biała skóra, rudawe włosy, pierwszorzędny, szyty na miarę garnitur, piękne buty, koszula. Bardzo spięty, mruga oczami, zagryza usta. Okaz z cieplarnianej hodowli, a już zdegenerowany. Obok atletycznego robociarza to drugi charakterystyczny typ amerykański. Trudno powiedzieć, który sympatyczniejszy.

Ta *red tape*<sup>1</sup>, urzędowa grzebanina jest okropna. W zwyczajnej sprawie – zablokowanie wypłaty czeku – śledztwo prowadzi policja dwóch krajów. Poczta, akta, koszta dodatkowe wynoszą już pewnie wielokrotność owych piętnastu dolarów. Naprawdę przygnębiające.

Ale za cenę takich komplikacji i kosztów w końcu wiedzą o wszystkim.

Było nas pewnie około stu pięćdziesięciu osób w sali, w której wypowiedziałem słowa przysięgi, otrzymując obywatelstwo amerykańskie. Ta sala narad znajduje się na jednym z pięter budynku władz South District of New York. W kącie gwiazdzisty sztandar z orłem. Na podium obite zieloną skórą fotele sędziów, przed podium stoły urzędników sądowych. Wezwanie opiewało na godzinę za piętnaście druga. Musiałem podpisać dokument o przyjęciu obywatelstwa, ale jeszcze go nie przekazano, zostanie wysłany pocztą. Po czym usiedliśmy w ławkach i czekaliśmy na sędziego, który miał nas zaprzysiąć.

Wśród oczekujących rzadko widziało się twarz zdradzającą wykształcenie, systematyczny wysiłek umysłowy. Większość stanowili biedni, strudzeni prości ludzie. Kilku Żydów, rozmaite narodowości, Słowianie, Niemcy. Nie rozpoznałem żadnego Węgra. Dwóch Murzynów,

---

<sup>1</sup> *Red tape* (ang.) – biurokracja.

pewnie z zachodnich wysp Oceanu Indyjskiego. Pół tuzina Azjatów. Reszta biali.

Na kilka minut przed nadejściem sędziego pewien urzędnik wyszedł na środek sali i wezwał tych, którzy doświadczają stanu *change in heart*, żeby się zgłosili, jeśli zmienili zamiar i nie chcą zostać obywatelami amerykańskimi. Teraz mogą to jeszcze uczynić, powiedział urzędnik, ale za kilka minut, gdy sędzia odbierze od nich przysięgę, staną się obywatelami tego kraju, co daje prawa, lecz narzuca także obowiązki. Nikt się nie zgłosił. Następane minuty upłynęły w głębokiej, uroczystej ciszy.

Potem stukają i w otwierających się bezgłośnie, ciężkich dębowych drzwiach staje starszy sędzia ubrany w czarną togę. Wchodzi na środek podium, w ręce trzyma księgę w czarnej oprawie. Wygląda jak ksiądz. Jeden z urzędników – zapewne na pamiątkę dawnego zwyczaj sadowego trzykrotnie wykrzykuje: „*Hear ye!*”<sup>1</sup>. Wszyscy wstajemy. Urzędnik odczytuje teraz przysięgę, której kolejne zobowiązania powtarzamy z prawą ręką uniesioną ku górze. W sali cichy pomruk. „*So help me God*”<sup>2</sup> – tylko te słowa brzmią trochę głośnie.

Następnie przemawia sędzia. Mowa jego jest monotonna i księżowska. „Ten kraj nie jest rajem na Ziemi – mówi. – Niech państwo uczynią wszystko, by był lepszy i doskonalszy. *Thank you!*” – kończy. I opuszcza salę.

Od dnia, w którym wyjechaliśmy z Dworca Wschodniego w Budapeszcie minęło osiem lat, dziesięć miesięcy i dziesięć dni.

#### 14 czerwca

Stacja radiowa najpopularniejszego nowojorskiego pisma „New York Times” transmituje półgodzinny wykład przywódcy sekty Christian Science. Wylicza on przypadki cudownych uzdrowień, kiedy to wiara, modlitwa, sama tylko pomoc boska uzdrowiła wierzących z ciężkich, nieuleczalnych chorób, i to bez żadnej lekarskiej ingerencji. Przykład: pewien młody człowiek miał objawy perforacji ślepej kiszki, lekarz bla-

---

<sup>1</sup> *Hear ye!* (ang.) – Słuchajcie!

<sup>2</sup> *So help me God* (ang.) – Tak mi dopomóż Bóg.

gał chorego i jego rodziców, by zgodzili się na natychmiastową operację ratującą mu życie, ale zarówno pacjent, jak i jego rodzice – członkowie Christian Science – odrzucili pomoc lekarską, uważając bowiem, że nie wolno się przeciwstawiać woli bożej, nie wolno starać się na nią wpływać inaczej niż tylko poprzez wiarę, modlitwę, błaganie. I młody człowiek, który stał już na progu śmierci, po południu był całkowicie zdrowy.

Przywódca wymienia wiele takich przypadków. A stacja radiowa należąca do wielkiego „New York Timesa” transmituje te opowieści. W taki właśnie sposób wszystko się deformuje: chrześcijaństwo, więź człowieka z nadprzyrodzonością, z Bogiem. Bóg w istocie ulepił człowieka z gliny i tchnął w niego duszę nieśmiertelną, ale nie uczynił tego po to, żeby człowiek opuścił się, nie dbał o własne zdrowie ani o swój los, tylko po to, żeby korzystając z rozumu, wymyślił metody obrony przed obojętnym okrucieństwem przyrody, chorobami i kłeskami żywiołowym. Bóg dał człowiekowi duszę nieśmiertelną po to, żeby poszukującą i twórczą siłą swojej nieśmiertelnej duszy wynalazł penicylinę, insulinę i wszystko inne, co rzeczywiście wynalazł. Człowiek modli się nie wtedy, kiedy nic nie robi, tylko kołysze się i odmawia modlitwy, tylko wtedy, kiedy mierzy się z wyzwaniem, jest ostrożny, silny, czynny, pilny. To prawdziwa modlitwa.

Co innego Opatrzność. Bo Bóg tworząc człowieka, dał mu narzędzia, by się bronił i troszczył o siebie, jak potrafi, płynąc pomiędzy brzegami narodzin i śmierci – ale czy ten Bóg troszczy się o człowieka? Tego nie wiem. Czasami wyczuwam jakieś wskazówki, inspiracje niewiadomego pochodzenia – ale co to jest?

Ostatnio gniewam się już tylko wtedy, gdy potrzebuję tego z przyczyn zdrowotnych. W starszym wieku gniew zastępuje zdrowe pobudzenie, jakie przynosi szok genitalny.

*15 czerwca*

Listonosz przyniósł dziś list polecający nadany przez amerykańskie ministerstwo sprawiedliwości, w którym znajdował się oryginał



dokumentu poświadczającego obywatelstwo. Ministerstwo załączyło do niego miły list, w którym zwraca uwagę *dear fellow American* na korzystne warunki oprocentowania państwowych papierów wartościowych. To naprawdę Ameryka.

Ton i nastrój przysięgi przypomniiał mi pozbawione wszelkich zewnętrznych upiększeń nabożeństwo w kościele unitarian. Człowiek jest sam na sam ze swoim sumieniem i z bóstwem – Państwem.

Po południu z Jánosem na wystawie Picassa. Trochę się buntuje, ale potem mówi, że w tym bezsensie „czuje się jakąś siłę”. To prawda. Pewne studium o Picassie informuje, że „mistrz nie ma zamiaru popaść w artystyczną sklerozę”, dlatego ciągle poszukuje „nowych” środków wyrazu. Ale wystawa nie przekonuje mnie o tym. „Nowe”, które jest „ciągle nowym”, robi się monotonne. To kurczowe, maniackalne „poszukiwanie nowości” staje się właśnie umysłową sklerozą – wielka siła Picassa z początku wieku, jego fantazja formalna prędko przekształciła się w usystematyzowane grymasy artysty „bojącego się powtórzeń”, w ćwiczenia gimnastyczne, mechaniczne silenie się na oryginalność. Artysta, który nie ma odwagi rozwijać się harmonijnie i zmieniać razem ze swym talentem, lecz za wszelką cenę chce być „nowatorski i oryginalny”, staje się tak samo żaloszny, jak podstarzały mężczyzna biegający za swoją potencją.

*17 czerwca*

Pierwszy raz tego roku nad brzegiem oceanu. Wyszuszający, upalny dzień, półtoragodzinna podróż. Ale na miejscu całkowita kompensacja. Nieskończona woda jest cicha, ledwie falista, żywa i chłodna. Trzy razy wchodzę do wody popływać; to rzadka sposobność, bo często pływanie jest niemożliwe z powodu wysokich fal. Potem w głębokim, błogosławionym zmęczeniu przez całe godziny na brzegu. To jest moje prawdziwe „obywatelstwo”.

20 czerwca

Rano kilka rozpaczliwych linijek od matki: w kraju rozeszła się wiadomość, że miałem udar. Kto rozsiewa takie plotki i po co? Udar może spotkać w każdej chwili każdego, również mnie. I nawet nie byłby taki zły, gdyby okazał się wystarczająco mocny i ostateczny.

Nad oceanem. To warte wszystkiego, wszystko rekompensuje i daje wszystko, o co na ziemi można prosić i czego można oczekiwać. Silne fale wyrzucają na brzeg wiązki alg. Za pięćdziesiąt lat, jeśli nie wcześniej, z tych alg będą przygotowywać befsztyki dla umasowionego świata.

Organizacja Narodów Zjednoczonych w liczącym sobie czterysta stronnic memorandum stwierdziła, że węgierska rewolucja była uzasadnionym wyrazem dążeń wolnościowych, a rosyjska interwencja zbrojna stanowiła złamanie prawa. Memorandum wydrukowano i rozdano członkom rady. A potem wyznaczono następne posiedzenie na jesień i delegaci rozjechali się na wakacje.

Pierwszy raz napisałem, że „jestem obywatelem amerykańskim” w liście do redakcji tutejszej gazety katolickiej z prośbą, żeby opublikowała mój apel *Don't forget Hungary*. Nie było w tym żadnej szczególnej intencji, wydawało mi się naturalne i logiczne.

Nowi emigranci są nieskromni i roszczeniowi. Oczekiwali, że otrzymają tu jakąś zasłużoną rentę. Nieznajomy emigrant zagaduje mnie w metrze i informuje z oburzeniem, że musi pracować za mniej niż jednego dolara za godzinę.

Zaskoczenie związane ze starością – że nie boli. Nie odczuwam nostalgii, nie żałuję niczego, co „było i minęło”. Żałuję tylko tego, co jest, a nie jest takie, jakie mogłoby być.

27 czerwca

Z największą cierpliwością – a czasem wręcz z wdzięcznością – przyjmuję to niemal całkowite odarcie z szans, jakiemu zostaje poddana praca całego mojego życia. (Ta „wdzięczność” wydaje się dość dziwna, ale nie znajduję na to dokładniejszego określenia. Uczucie, z jakim czasami myślę o tym ogołoceniu, przypomina wdzięczność... To jest bardzo dziwne, ale prawdziwe).

Po Chruszczowie teraz pokazują w telewizji Titę. To medium w nieprzyjemny sposób obnaża osobowość. W telewizji Tito jest kieszonkowym, niepewnym i prymitywnym hersztem bandy – tym, kim jest.

Świat Wschodu i Zachodu któregoś dnia będą musiały rozliczyć się ze sobą za to, co stało się z Węgry, a potem za to, co się nie stało. To rozliczenie nie nastąpi prędko, ale jest nieuniknione. To tajemnicza, głęboko podskórna, powoli przesuwająca się w czasie konieczność rachunku sumienia zachodniej cywilizacji. Jej zaniedbania można skomentować słowami Talleyranda, które wypowiedział na wieść o tym, że Napoleon kazał stracić księcia d’Enghien: „To więcej niż grzech... to błąd”.

W jednym z czasopism amerykański dziennikarz rozmawia z Picassem. Siedemdziesięciopięcioletni Mistrz przyjmuje go w swojej willi na francuskiej Riwierze w towarzystwie młodej kochanki. Banały, jakie wygłasza, są zdumiewająco głupie. I na dodatek podczas rozmowy wykrzykuje naraz, że jeszcze nigdy nie wypowiedział publicznie tylu mądrości (sic!). W epoce renesansu daliby po gębie temu rozpustnemu, aroganckiemu staremu pajacowi i oszustowi.

Wizje mistyków otrzymują czasami potwierdzenie okrężną drogą. „Uniwersum w ziarenku piasku” – wizja Blake’a – to dla fizyka atomowego świat rozpoznany, posiadający mapę i swoje księgi hipoteczne.

Możliwe, że Proust miał rację, gdy sądził, że artysta, pisarz tak naprawdę pracuje ciągle nad jednym i tym samym problemem, pisze zawsze „tę samą” książkę, maluje wiecznie ten sam temat. On sam może się zmienić, ale temat i gatunek, który przynależy tylko do niego, pozostanie niezmienny.

Każdego ranka Biblia. Każdego ranka János Arany. Jakoś nic poza tym nie zostało.

János będzie Amerykaninem – nikim więcej, nikim innym. Może to dla niego dobre. I szkoda, że to może być dla niego dobre.

Kanada. Kiedy podróżny przybywający ze Stanów Zjednoczonych przekracza granicę kanadyjską i z jednego ogromnego kraju przyjeżdża do drugiego ogromnego kraju, ani przez chwilę nie czuje, że podróżuje pomiędzy „różnymi krajami”. Wciąż przemieszcza się po kontynencie i ten kontynent, Ameryka, jest w większym stopniu kontynentem niż cokolwiek, co pomiędzy brzegami oceanu dzieli granica między oboma państwami. W Europie tego się nie czuje, tam zawsze podróżuje się z kraju do kraju.

W Montrealu Army Day. Po głównej ulicy defiluje jak jeden mąż armia kanadyjska, z czołgami, z kozą o złotych rogach, z grubym tamburmajorem, Murzynem, który z mocarstwową dumą podnosi do góry laskę dyrygencką, i z orkiestrą Szkotów w kraciastych spódnicach. Kanadyjczycy są doskonałymi żołnierzami, bitni, zdyscyplinowani, poważni, podczas obu wojen światowych pokazali, co umieją. A jednak ta świetnie uzbrojona armia robi tak przedatomowe wrażenie... Jak dziś chyba każda armia.

Niagara. Przejeżdżam taksówką most oddzielający Kanadę od Stanów Zjednoczonych, amerykański oficer graniczny zagląda przez okno,

pyta, kim jestem – tak wygląda tu kontrola graniczna. Po europejskich scenach granicznych bardzo mi to odpowiada. Od lat dzieciństwa nie podróżowałem z kraju do kraju tak, jak kiedyś nasi ojcowie podróżowali po Europie: z wizytówką i wiarygodnością wypowiedzianego słowa. Ale szoferowi kanadyjskiemu amerykański żołnierz graniczny już nie wierzy i każe mu otworzyć bagażnik: „*Maybe there is somebody*”<sup>1</sup>, mówi ze śmiechem. Coś takiego czasem się przydarza.

Popołudnie na Koziej Wyspie. To tutejsze Capri. Przez kilka godzin leżę w trawie na brzegu wodospadu. Wielka gra wody, której nie potrafi zbanalizować turystyczna reklama, obserwowana bezpośrednio, z bliska, przemawia do mnie z dziką konsekwencją. Słońce mocno świeci, cień drzew jest głęboki, trawa pachnąca. Wielka woda tuż obok mnie opada w głąb. Rzeczywistość tego wodospadu w epoce atomowej przynosi szczególne skojarzenia. Leniwie kołysząca się, wolno płynąca rzeka zmienia się naraz w dziki, buchający wodospad... tak zmienia się wszystko, co istniało w chwili moich urodzin. Tak zmieniła się Epika, Tryb Życia, Odczucie Życia... Toczyły się leniwie jak rzeka, a dziś niepowstrzymanie kłębią się, szumią i buchają podobnie do wodospadu.

Buffalo. Miasto na brzegu wielkiego jeziora jest wieczorem dziwnie puste: błyszczą neony, na ulicach ludzie, ale to wielkie, prowincjonalne miasto pozostaje jednak niepojęcie „puste”; nie na zewnątrz, lecz od wewnątrz. Za mlecznymi, żółto świecącymi, zakratowanymi oknami wielkiego budynku cienie spacerują w tę i z powrotem. Siedzę na ławce i długo obserwuję te cienie. To więzienie. Sceneria i nastrój jak z E.T.A. Hoffmanna. Ale jeszcze bardziej niepokojące, tajemnicze.

Nocny przylot do Nowego Jorku zawsze coś we mnie budzi. To miasto przemawia do mnie tylko nocą, milionami kolorowych świateł, ich blaskiem. Nie sposób określić „gdzie” się zaczyna czy kończy Nowy

---

<sup>1</sup> *Maybe...* (ang.) – Może ktoś tu jest.

Jork. Wszystko skrzy się, bez żadnego celu, niebezpiecznie, nadludsko. Czuję tylko, że przyjechałem... ale dokąd? Prawie wypowiedziałem: „do domu”.

L. powiada, że „sny zmieniają się stosownie do kontynentów” – człowiek nie śni „tego samego” w Ameryce, co w Europie.

*14 lipca*

Ewangelizator Billy Graham w Madison Square Garden. Na arenie z klimatyzacją około dwudziestu tysięcy ludzi – to zawsze te same dwadzieścia tysięcy, które wczoraj słuchały tu McCarthy’ego, Stevensona czy klaunów z cyrku Barnuma. Te liczby nie są przekonujące. Papież przemawia przed dwustoma tysiącami wiernych, a wielkie mecze baseballowe ogląda nawet i sto tysięcy widzów. Dziewiąty tydzień z rzędu każdego wieczoru ewangelizator przemawia na tej arenie i nawraca grzesznych nowojorczyków – to młody człowiek ubrany w jasnoniebieski garnitur, ponieważ nawracanie jest transmitowane przez kolorową telewizję. Najpierw śpiewy, potem zbiórka pieniędzy, bo *crusade*, kampania ewangelizacyjna, jest finansowana z dobrowolnych składek. Graham nie dostaje tych pieniędzy, ma stałą pensję wysokości piętnastu tysięcy dolarów, wypłacaną przez nabożne stowarzyszenie, które finansuje te ewangelizacyjne objazdy. Kaznodzieja mieszka na prowincji, ma dom, żonę, rodzinę.

Przystojny mężczyzna, typ atletycznego amerykańskiego biznesmena. A więc: świadoma skromność, akcentowana pokora, podczas mówienia to wznosi, to znów opuszcza oczy. Przemawia bardzo głośno, czasem macha zaciśniętą pięścią, często krzyczy. Nie ma ani jednego zwyczajnego tonu – posługując się tym głosem, tym sposobem argumentacji, mógłby równie dobrze sprzedawać elektrołuksy czy idee polityczne. Typowy przykład pozbawionego mistyki, protestanckiego chrześcijanina, kogoś pomiędzy komiwojażerem a bokserem, człowieka, który wierzy, że „Cnota zwycięży Grzech”, i to wystarczy, by świat zwrócił się ku dobremu. To protestant przekonany, że jego królestwo jest z tego świata. Ale publiczność jest interesująca. Obok mnie elegan-

cka młoda Murzynka, jedna z dwudziestu tysięcy wiernych siedzących w ławkach, niektórzy czasami spuszczaają głowę, dłońią zasłaniają oczy, zastanawiają się nad czymś. Ciekawe. To też Ameryka.

Najpierw w kinie, gdzie wyświetlają neapolitański film De Siki, *L'oro di Napoli*. „Znajome” twarze budzą we mnie tęsknotę, melodyjnie krzykliwy *overstatement*<sup>1</sup>, zwyczajowy ton codziennej komunikacji neapolitańczyków, który De Sica z talentem podkreśla, odzywa się echem w mojej pamięci. Kiedyś jednak – może nawet niedługo – trzeba tam wrócić.

Na Bleeker Street pizza we włoskiej restauracyjce. Kelnerzy są tak inteligentni i uprzejmi jak... Włosi.

*Krew świętego Januarego* ukazała się po niemiecku. Wielkie uspokojenie, że to się stało – i że tych dziesięciu ludzi, którzy mi pozostali, przeczyta ją. Jeśli jeszcze uda się opublikować *Dziennik*, z większym spokojem będę myślał o minionych pięciu latach: to nie był stracony czas.

Umrzeć, nagle, tak. Dziś; ale nagle, natychmiast. Tylko nie być chorym, bezradnym, albo – co najgorsze – nie zestarzeć się sklerotycznie.

*16 lipca*

Jak daleko jesteś, ojczyzno! Prawie tak daleko jak Ameryka.

Rano i wieczorem w pobliskim lasku. Nawet w upał lasek jest chłodny, cienisty – ale bezwonny. Zdarza się tu nawet krzak malin, zające, wiewiórki. Bezwonny chłodny lasek na Manhattanie. Czasami czuję się tu tak, jakbym dotarł do celu.

---

<sup>1</sup> *Overstatement* (ang.) – przesadne reagowanie.

„Pomiędzy epizodami bezradnej goryczy i gniewu dziennik Máraiego wypełnia przede wszystkim pogodna melancholia, w której najwyraźniej widoczna jest wielkość i krystaliczna czystość tej literatury. Warto czytać ją cały czas od nowa, przy każdej lekturze odnajdując nowe odcienie i sensy”.

Szczepan Twardoch

Sándor Márai (1900–1989) – jeden z najwybitniejszych węgierskich pisarzy, którego twórczość cieszy się w Europie coraz większym zainteresowaniem; autor m.in. *Żaru*, *Księgi ziół*, *Wyznań patrycjusza*, a także pisanego przez całe życie *Dziennika*.

*Dziennik 1957–1966* – tom trzeci – obejmuje lata spędzone w Ameryce, do której Márai przyjechał w 1952 r. m.in. po to, by zdobyć dla siebie i bliskich obywatelstwo amerykańskie. Stany Zjednoczone budziły w pisarzu uczucia ambiwalentne, doceniał piękno krajobrazu, możliwość niemal nieograniczonego podróżowania, doskonały poziom bibliotek, ale drażnił go brak wrażliwości na kulturę ze strony społeczeństwa nastawionego głównie na zdobywanie dóbr materialnych; przeżył również rozczarowanie postawą większości środowisk emigracji węgierskiej.

Znajdziemy tu liczne zapiski dotyczące życia kulturalnego Nowego Jorku, refleksje z podróży i różnorodnych lektur, jak również interesujące, sformułowane z dużą umiejętnością przewidywania wnioski dotyczące wydarzeń politycznych na całym świecie.

Erudycja autora, przenikliwość spostrzeżeń, trafność osądów, okraszone błyskotliwym dowcipem i ironią – wszystko to sprawia, że mamy tu do czytania z dziennikiem intelektualisty wyrażające różnice pomiędzy Starym a Nowym Światem.

[www.czytelnik.pl](http://www.czytelnik.pl)

ISBN 978-83-07-03431-7



9 788307 034317